



■ Amerykańskie akcenty w niemieckiej kampanii wyborczej

Jadwiga Kiwerska

„Czasy, gdy mogliśmy całkowicie oprzeć się na innych, dobiegły końca. (...) My, Europejczycy, musimy wziąć nasze sprawy w swoje ręce” - wypowiadając te słowa 28 maja 2017 r. na wiecu wyborczym CSU w Monachium, kanclerz Angela Merkel miała żywo w pamięci spotkanie na szczycie G7 w Taorminie na Sycylii oraz nieco wcześniejszy nieformalny szczyt NATO w Brukseli. Niewątpliwie więc ich podtekstem były Stany Zjednoczone. To wówczas większość przywódców europejskich po raz pierwszy spotkała się z prezydentem Donaldem Trumpem. Po kontrowersyjnych wypowiedziach najpierw kandydata do Białego Domu, a potem już nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych, podważających wagę NATO i Unii Europejskiej, czyli *de facto* powiązań transatlantyckich, sojusznicy europejscy oczekiwali przelamania bariery nieдомówień i niejasności. Potwierdzenia, że układ transatlantycki utrzyma swą rangę w optyce nowej administracji amerykańskiej, a ważne z perspektywy Europy ustalenia i porozumienia nie będą przez Waszyngton podważane i kwestionowane.

Tak się raczej nie stało. Wprawdzie w Brukseli padły słowa o Sojuszu Atlantyckim, „promującym bezpieczeństwo i pokój na całym świecie”, zabrakło jednak odwołania do art. 5 traktatu waszyngtońskiego, na co w Europie czekano. Powrócił natomiast temat nakładów na obronność, czyli owych 2% PKB, których większość sojuszników, w tym Niemcy nie spełniają (w przypadku Niemiec jest to niespełna 1,2% PKB przeznaczonych na obronę). Zarzut ten, wielokrotnie przez poprzednie administracje amerykańskie stawiany, tym razem został wypowiedziany w formie karcenia nieposłusznych słuchaczy, co nie poprawiło atmosfery między USA a ich sojusznikami.

Redakcja:

Radosław Grodzki
Jacek Kubera
(redaktor naczelny)
Piotr Kubiak
Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Nr 324/2017
08.09.17

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne
także dzięki:
NEWSLETTER IZ
FACEBOOK
SCRIBD
LINKEDIN
TWITTER

Z kolei spotkanie w Taorminie nie rozwiązało niepokoju Europy odnoszącego się do utrzymania porządku liberalnego w handlu, istotnego dla interesów niemieckich oraz paryskiego porozumienia klimatycznego, tak ważnego nie tylko dla Niemiec, ale i całej Unii Europejskiej, którego to porozumienia współtwórcą był Barack Obama. W odniesieniu do obu tych kwestii Trump zaprezentował pełen sceptycyzmu i niechęci stosunek, znany z resztą z jego wcześniejszych wypowiedzi.

Dodajmy, że kanclerz Merkel już wcześniej miała okazję dokonać osobistej oceny nowego gospodarza Białego Domu, gdy w marcu 2017 r., odchodząc od dotychczasowego zwyczaju, to ona przyjechała z pierwszą wizytą do Waszyngtonu, aby zająć tam o europejskie/niemieckie interesy. Wrażenia z tego spotkania nie były najlepsze. Szefowa niemieckiego rządu zaprezentowała się jako lider Europy, natomiast Trump skoncentrował się na partykularnych celach, zgodnie ze swoim wyborczym hasłem „America First”. W sferze tych wąskich interesów Ameryki znalazły się stosunki handlowe z Niemcami – nadal istniało niebezpieczeństwo, że niemieccy producenci znajdują się na amerykańskiej czarnej liście „unfair trading partners”.

Kanclerz Merkel starała się przekonać prezydenta Trumpa, że Niemcy są przyjacielem Stanów Zjednoczonych, a nie ich wrogiem. Że nawet na polu gospodarczym i wymiany handlowej trzeba szukać wspólnych celów, a nie eksponować elementy rywalizacji. Mimo wysiłku nie zdołała raczej przekonać Trumpa do siebie. W przeciwieństwie do prezydenta Obamy, który uważał Merkel za swego najlepszego sojusznika, niemal spoiwo układu transatlantyckiego, Trump wyraźnie nie docenił rangi Niemiec i osobiście Merkel jako nieformalnego lidera Europy, dysponującego ogromnym potencjałem gospodarczym i politycznym. Zamiast zdyskontować ten fakt dla umocnienia sojuszu z Europą, raczej dostrzegał w Niemczech konkurenta na polu polityki i gospodarki, a w Merkel swego rywala.

Mając takie doświadczenia ze spotkań z nowym prezydentem amerykańskim, a przede wszystkim będąc świadoma jego pełnego sceptycyzmu i mało wiarygodnego stosunku do zobowiązań transatlantyckich, kanclerz Merkel wprowadziła wątek amerykański, a może dokładniej dystansu wobec prezydenta Trumpa, do swojej kampanii wyborczej. Zresztą nie pozostawiała złudzeń co do przyczyn takiego działania. Wyraźnie zadeklarowała, że jest to efekt jej doświadczeń z ostatniego czasu, podających w wątpliwość rangę Stanów Zjednoczonych jako wiarygodnego partnera Niemiec i Europy.

Nie można wykluczyć, że jednym z celów wystąpienia Merkel w Monachium, w istocie swej „antytrumpowskiego”, była chęć zagrania na dość popularnej w Niemczech nutie antyamerykanizmu, a w tym przypadku jeszcze ogromnej niechęci do Trumpa, i zyskania tym samym większego poparcia. Szefowa chadecji niewątpliwie brała to pod uwagę. Brak zaufania do Stanów Zjednoczonych jako wiarygodnego partnera w kwestiach bezpieczeństwa zauważalny był nie tylko w tradycyjnie antyamerykańskim elektoracie SPD (ok. 73%), ale też wśród wyborców CDU/CSU (ok. 66%), zaś niechęć do Trumpa jako lidera światowego deklarowało grubo ponad 70% Niemców (wg sondażu Politbarometer, przeprowadzonego 2 czerwca br. dla telewizji ZDF). Był to zatem potencjał godny uwagi. Trudno więc nie dostrzec takiej motywacji.

Z drugiej strony należy pamiętać, że chadecja tradycyjnie w kampaniach wyborczych odzęgnywała się od akcentów antyamerykańskich. Nawet przed wyborami do Bundestagu we wrześniu 2002 r., gdy napięcia między Waszyngtonem a Berlinem, wywołane konfliktem wokół Iraku, osiągnęły punkt kulminacyjny, prowadząc do „za-trucia” wzajemnych stosunków, to *CDU/CSU* tego wątku nie eksploatowała. Został on natomiast z pełną premedytacją wykorzystany przez rządzącą wówczas koalicję *SPD-Sojusz 90/Zieloni*. Dodajmy, że po raz pierwszy w historii stosunków między RFN a USA antyamerykanizm został wprowadzony przez rządzących do kampanii wyborczej.

Nie zaszkodziło to bynajmniej rządzącej koalicji, która dzięki antyamerykańskim akcentom w kampanii i stanowczości w sprawie Iraku, w wyborach do Bundestagu zwyciężyła. A jeszcze miesiąc wcześniej, zanim nie uderzono w ton antyamerykanizmu, *SPD* przegrywała z chadecją o blisko 20 punktów proc. Człotowi politycy *CDU/CSU* nie zdecydowali się jednak grać na antyamerykańskich emocjach elektoratu.

Co więcej, w kampanii przed wyborami w 2005 r. przewodząca już wówczas chadecji Merkel deklarowała wolę powrotu do Adenauerowskiego paradygmatu niemieckiej polityki zagranicznej – przekonywała, że Niemcy nie powinny wybierać między współpracą atlantycką a integracją europejską, lecz dzięki swemu położeniu być pomostem między wyznającymi wspólne wartości Europą i Ameryką. Mówiła tak z pełnym przekonaniem, mimo że wówczas 56% Niemców miało złe zdanie o USA, a 83% wyrażało niezadowolenie z polityki Busha. Dla Merkel, urodzonej i wychowanej w NRD, w rodzinie protestanckiego pastora, Ameryka była natomiast bardziej symbolem nadziei niż zagrożenia. Dlatego uważała, że poprawa relacji z USA leży w interesie niemieckim i starała się na rzecz odbudowy tej współpracy działać. Efektem było „partnerstwo w przywództwie”, jak nazwano stan relacji wypracowany przez Merkel i Obamę.

Należy więc uznać, że tym razem wiele się zmieniło w postrzeganiu przez Merkel działań amerykańskich. Podczas gdy po zwycięstwie wyborczym Trumpa niemiecka kanclerz wypowiadała się z pewną powściągliwością i pełnym nadziei oczekiwaniem, co odbiegało od ostrych komentarzy innych polityków niemieckich, nawet z koalicyjnej *SPD*, to po pół roku urzędowania nowej administracji sytuacja była już inna. Sceptycyzm i ledwo ukrywana niechęć szefowej niemieckiego rządu do nowego prezydenta i jego zachowań na arenie międzynarodowej zaowocowały deklarowanym w kampanii wyborczej dystansem wobec Trumpa, który można by odebrać nawet jako retorykę antyamerykańską. W ten sposób kanclerz Merkel starała się silniej wyeksponować swoje odmienne od obecnego gospodarza w Białym Domu podejście m.in. do kwestii wartości, wiarygodności, solidarności wspólnotowej, wreszcie spraw ekologii. Zaprezentować się jako rzeczywiście lider Zachodu.

Gdy prezydent Trump, krótko po wizycie w Europie, 1 czerwca 2017 r., ogłosił decyzję o wycofaniu się z paryskiego porozumienia klimatycznego, Merkel nazwała tę decyzję „krańcowo godną pożałowania” (2.06.2017). Następnie wraz z prezydentem Francji i premierem Włoch wydała oświadczenie, w którym jednoznacznie poparto ustalenia paryskie oraz odrzucono możliwość ich renegocjacji, co sugerował prezydent Trump. Mówiąc kolokwialnie, Europa z kanclerz Merkel i prezydentem Francji na czele dość nonszalancko potraktowała amerykańskiego prezydenta, zapowiadając – jakby je-

mu na przekór – nawet kolejne inicjatywy na rzecz ochrony klimatu. „Ta decyzja [o wycofaniu USA z porozumienia paryskiego – przyp. J.K.] nas nie zatrzyma. Wprost przeciwnie, Niemcy, Europa i reszta świata będą jeszcze bardziej zdeterminowani niż kiedykolwiek wcześniej, aby skutecznie uporać się z tymi wyzwaniami” – oświadczyła Merkel.

Podczas spotkań przedwyborczych temat Ameryki powracał dotąd raz po raz, pojawiał się także w wywiadach dla mediów. W rozmowie z redakcją „Handelsblatt” (23.08.2017) kanclerz Merkel, nawiązując do zahaczających mocno o izolacjonizm hasł Trumpa z kampanii wyborczej: „Make America Great Again” i „America First”, dowodziła, że „Ameryka nie będzie wielka, jeśli nie będzie skoncentrowana na sprawach dziejących się także poza jej granicami”. Ale jakby przewidując gorszy scenariusz, nie omieszkała dodać, że Europa musi „określić własne interesy”, które nie muszą „pokrywać się z interesami amerykańskimi”. Dość dwuznaczne były też jej słowa, że Trump wygrał trudną kampanię wyborczą i choćby z tego względu należy mu się szacunek, a jej osobista opinia o nim nie ma tu nic do rzeczy. Zawołowane, ale wielce wymowne stwierdzenie odzwierciedlało stosunek Merkel do obecnego amerykańskiego prezydenta.

Jakkolwiek w żadnym wypadku nie można powiedzieć, że temat amerykański dominuje w niemieckiej kampanii wyborczej, to jednak obecny jest w różnych rywalizujących o miejsca w Bundestagu obozach politycznych. Jak to już się stało tradycją, dość silnie ów antyamerykanizm pobrzmiewa w wypowiedziach polityków *SPD*. Nawet w kwestii, która z perspektywy bezpieczeństwa europejskiego wydaje się bezdyskusyjna, niemieccy socjaldemokraci mają własne krytyczne zdanie. Taka była ich reakcja na przyjętą przez Kongres amerykański pod koniec lipca 2017 r. ustawę o nowych sankcjach wobec Rosji.

Należy dodać, że przeciwko ustawie nakładającej na Rosję nowe restrykcje był prezydent Trump obawiający się zamknięcia kanałów komunikacyjnych z Moskwą. Ustawa Kongresu *de facto* oznaczała jednak pogrzebanie planów Trumpa odblokowania relacji z Rosją i nawiązania bliskiego dialogu z Władimirem Putinem. I chociaż w przypadku administracji Trumpa utrudnienia na drodze ponownego „resetowania” stosunków z Rosją wynikały też z innych przyczyn, to ten aspekt decyzji podjętej na Kapitolu wydaje się godny uwagi. Nie zmieniło to faktu, że Trump był zmuszony ustawę podpisać.

Z pozoru mogło się wydawać, że krytykując rozszerzenie sankcji wobec Rosji, politycy niemieccy z *SPD* stanęli w jednym szeregu z prezydentem Trumpem. Ich krytyka – choć w pewnym stopniu powodowana była obawą o dalsze zaognienie stosunków z Rosją – miała jednak też zgoła inne przyczyny. Przede wszystkim chodziło o eksterytorialny charakter sankcji amerykańskich (możliwość ich stosowania wobec podmiotów współpracujących z przedsiębiorstwami w Rosji), co niesło zagrożenie dla niemieckich interesów gospodarczych związanych z branżą energetyczną. Stąd ostre wypowiedzi na temat nowych amerykańskich sankcji polityków *SPD*, w tym ministrów gabinetu Merkel.

Zarówno szef niemieckiej dyplomacji Sigmar Gabriel, jak i minister gospodarki Brigitte Zypries czy Gernot Erler, pełnomocnik rządu ds. Rosji wyrażali zaniepokojenie o skutki nowych sankcji amerykańskich dla niemieckich/europejskich firm współ-

pracujących z Rosją na rynku energetycznym (w tym nad projektem *Nord Stream II*). Zarzucano stronie amerykańskiej brak konsultacji przed wprowadzeniem decyzji o rozszerzeniu sankcji. Wręcz grożono reperkusjami ze strony Unii Europejskiej, gdyby zastosowano zasadę ich eksterytorialności. Pojawiły się opinie, że jest to działanie na rzecz zabezpieczenia amerykańskich interesów eksportowych i energetycznych.

Na tym tle reakcja polityków chadeckich wydawała się zdecydowanie mniej kategoryczna. Pojawiły się nawet głosy krytykujące niektóre opinie przedstawicieli *SPD*. W wypowiedziach chadeków dominowała akceptacja dla polityki utrzymywania sankcji przeciwko Rosji – ustawa Kongresu anulowała obawy o drastyczną zmianę kursu polityki Waszyngtonu wobec Moskwy. Taką opinię wyraził Jürgen Hardt, rzecznik ds. polityki zagranicznej *CDU/CSU* i zarazem koordynator rządu federalnego ds. współpracy transatlantyckiej. Jego zdaniem stało się dobrze, że „USA pozostają przy sankcjach, a nie chcą ich teraz – za Trumpa – łagodzić”.

Eksponowano też ten aspekt sankcji, który starano się w wypowiedziach socjaldemokratów pomijać – założenie, że strona amerykańska będzie uzgadniać zastosowanie sankcji w sytuacjach, gdyby godziły one w interes europejskich/niemieckich firm. Można było odnieść wrażenie, że przy całym swym sceptycyzmie wobec administracji Trumpa, chadecy i osobiście kanclerz Merkel są przekonani, że współpraca ze Stanami Zjednoczonymi ma wartość nadrzędną. Nie wolno zatem dopuścić, aby kwestia Rosji i restrykcji wobec niej – dotąd obie strony jednocząca – wytyczyła nowy punkt konfliktu w relacjach transatlantyckich. Niepotrzebnego i groźnego.

Powodowana też tymi przesłankami chadecja werbalnie nie kwestionowała zobowiązania państw członkowskich NATO ze szczytu w Newport do przeznaczenia 2% PKB na obronność do 2024 r. Wypowiedzi samej Merkel szły w tym kierunku, że będzie to realizacja postulatu stawianego jeszcze przez administrację Obamy, a nie ugięcie się pod presją Trumpa, nielubianego i nie poważanego w Niemczech. Natomiast socjaldemokraci zdecydowanie i ostro odrzucają perspektywę przeznaczenia większych kwot na zbrojenia. Stawiając w ten sposób sprawę, zarówno Martin Schulz, jak i inni przedstawiciele *SPD* liczą na akceptację niemieckiej opinii publicznej, przywiązanej do zasady *Zivilmacht*.

Temu też służyć ma hasło, rzucone przez Schulza 22 sierpnia 2017 r. na wiecu w Trewirze, o usunięcie z terytorium Niemiec amerykańskiej broni atomowej. Atrakcyjność tej zapowiedzi nie podlega dyskusji, jeśli przypomnieć, że w wojskowej bazie na terytorium Niemiec (Büchel) znajduje się 20 amerykańskich głowic nuklearnych. Nie jest ona natomiast odkrywcza – wielokrotnie postulat taki podnoszony był przez pacyfistyczne środowiska w Niemczech oraz partię Zielonych. Tym razem jednak, połączony z silną niechęcią Niemców do administracji Trumpa, wydawał się sposobem na poprawienie notowań wyborczych.

Czy jednak dzisiaj, przy zdecydowanym prowadzeniu *CDU/CSU* w przedwyborczym rankingu (37 % dla chadecji i 23 % dla *SPD*), najbardziej nawet krytyczne wobec Trumpa wystąpienia, czy wręcz antyamerykańskie akcenty wpłyną na zmianę nastrojów? Należy wątpić. Tym bardziej że - jak widać - także kanclerz Merkel nie uciekała od krytyki pod adresem nowego gospodarza w Białym Domu, wpisując się tym samym w nastroje zdecydowanej większości Niemców, ale też pozostając w zgodzie ze swoimi przekonaniem. Dlatego wypowiedzi jej i innych przedstawicieli *CDU/CSU* utrzymane są w tonie, który ma bardziej charakter zawołany, choć personalny, gdyż wyraźnie ukierunkowany na Trumpa, niż szkodzący wspólnocie transatlantyckiej. Chodzi przecież o to, aby nie otwierać kolejnych pól konfliktu z sojusznikiem, nadal bardzo ważnym dla Europy i Niemiec.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska - prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.